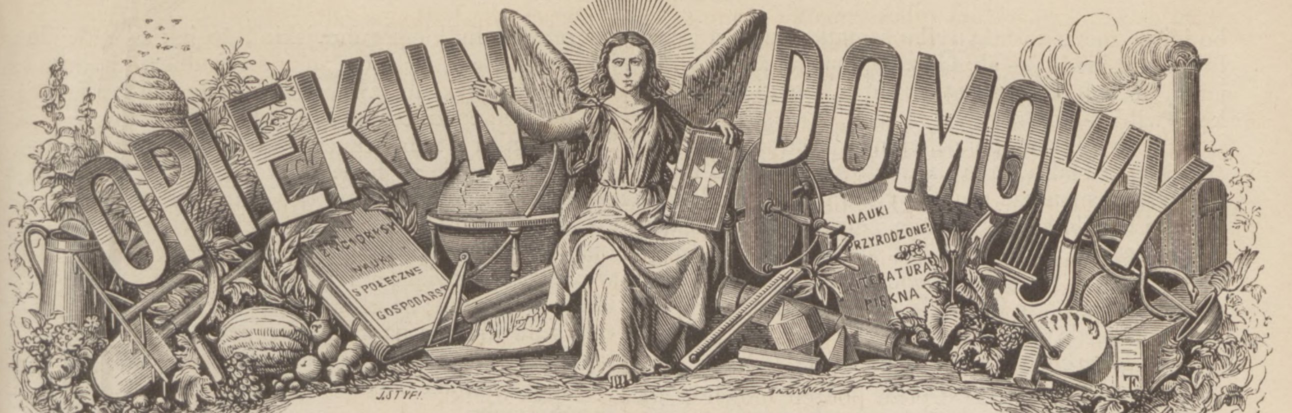


Warszawa dnia 11 Stycznia 1865 roku.

Nr 2. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

SOŁTYSIANKA.

Nie było na cztery mile dokoła człowieka, któryby cudów nie rozpowiadał o fortunie i bogactwie sołtysa z Wrotnowic, Błażeja Sołody. Był to bowiem sobie kmieć bogaty, co się zowie, że cztery pary butów schodzić, a drugiego takiego nie znaleźć! Toć bywało, kiedy człowiek za jakim interesem przejeżdża przez Wrotnowice i zapyta:

— A czyja to ta wielka i piękna chata pod gontem?

To ludzie zaraz odpowiedzą:

— A jużciż że Sołody!

— A ta pasieka hen w sadzie?

— Sołtysa Sołody!

— A to bydło piękne i spasione jak gałki?

— Sołody!

— A to długie pole z tem pięknem zbożem?

— Sołody!

I to Sołody i owo Sołody, co najpiękniejszego i najwartowniejszego we wsi całéj, to wszystko sołtysa Sołody! U Sołody huk pola, ziarna pszenicznego wory, karbowańców w kalecie jak maku!...

Aleć klnę się sumieniem, że to jeszcze nie wszystko było. Wszystko to bogactwo, to nic naprzeciw córki sołtysa, czarnookiéj Hali! Oj śliczneż to, śliczne było dziewczę. Oczki jak tarki, liczko jak róża, usta jak korale, gdyby śnieg ząbki białe!.. Świat przewędrować, oczy wypatrzyć, nogi poschodzić, a dzieweczki takiéj drugiéj nie odszukać między ludźmi.

Wiedzieli o tem parobcy z Wrotnowic, bo każdy przepadał i w żywy ogieńby skoczył za Halą; wiedział sołtys, bo kochał dziewoję i pieścił jak cacko; wiedziała i Hala sama, bo już nawet na chłopców i patrzeć nie chciała!..

Oj gdybyż była nie popatrzyła na żadnego, tylko została wierną Grzesiowi, póki życia lichaby nie była znała!

— A któż był ten Grześ?..— zapytacie mnie ludzie. Posłuchajcie jeno cierpliwie, o wszystkiem wam opowiem; ciekawa to historja, choć smutna i niedługa...

Jakom wam już powiedział, był sołtys Błażéj Sołoda, kmieć bogaty bardzo i nie zabrakło tam u niego w chacie niczego, co należy do dobrego życia i szczęścia. Przy tem zaś wszystkiem, był Sołoda człekiem uczciwym i zacnym, co własną pracą dorobił się dobytku, a nigdy w całem swem życiu nie uganiał się krzywemi drogami za zyskiem lub krzywdą ludzką.



Halu, a czy pójdziesz ty za mnie?...—(str. 10, szp.1).
(Rysował Jastrzębowski.—Wyciął na drzewie Walter).

To też błogosławił mu Pan Bóg, a swoboda i byt dobry nie wychodziły nigdy z chaty. Sołoda miał żonę zacną, dobrą i pracowitą, że każdyby takiéj gospodyni mógł pozazdrościć tylko. Pod opieką staréj Sołodowéj, wzrosła i Hala dziewucha, piękna i urodziwa jak malowanie, o któréj także już była mowa.

Rodzice kochali Halkę, jak własną źrenicę, i co tylko dziewczę zachciało, to zaraz ojciec i matka kłopotali sobie głowę, aby jéj na tem nie zabrakło. Bo też była jedynaczka, a Sołodowie niczego tak nie pragnęli, jak szczęścia swojéj dziewuchy. Więc też i korale i pierścienie srebrne i kwieciste spodniczki i sukmanki strojne — wszystkiego tego miała huk córka sołtysowa.

Ale czego jéj rodzice dać nie mogli, tem ją Pan Bóg obdarzył. Młoda Sołtysianka była, jak już powiedziano, hoża jak łania, zgrabna i wiotka jak kalina!.. A przy tem wszystkiem było to dziewczę dobre i serce miało poczciwe, jak Pan Bóg przykazał, jeno że matka i ojciec rozpieścili ją po trosze.

Był zaś we wsi parobczak poczciwy i pracowity, chłopiec porządny i tęgi, a dobry przy tem, że jeno do rany go przyłożyć. Zwał się Grześ Staniek. Cała gromada kochała tego Grzesia, jak syna, bo wszystkim był życzliwy, wszystkim pomógł, wszystkim służył.

Matka Grzesia, stara Marta, była uboga wdowa;

bo jéj po mężu została tylko szmatka gruntu i chałupina od biedy — ale Grześ stanął jéj za cały majątek, bo chłopak pracował za dziesięciu i starą matkę żywił i pielęgnował.

Otóż ten Grześ pokochał nad życie Halkę Sołtysiankę, a Halki serce skłaniało się do niego także, i w całéj gromadzie mowa była o tem, że z Grzesia i Halki będzie kiedyś piękna i dorodna para. Stary sołtys Sołoda nie sprzeciwiał się temu; bo choć był najbogatszym we wsi kmieciem, nie pogardzał ubogiemi, a Grześ, że był dobry i pracowity, przypadł mu od razu do serca.

Było to z końcem lata w niedzielę. Grześ, wychodząc z kościoła, spotkał się z Halką i odprowadził ją do domu. Po drodze poczęli mówić z sobą, jak to bywa między młodymi ludźmi, o swem kochaniu — a Grześ chwycił za rękę Halkę, uścisnął ją z serca i zapytał:

— Halu! życie ty moje! czy kochasz mnie dziewucho?.. Hala poczerwieniła się od wstydu, jak róża, pochyliła główkę na dół, i szepnęła z cicha:

— Kocham Grzesiu, kocham bardzo!

Grzesiowi aż oczy się zaiskrzyły od szczęścia, i tuląc do siebie Sołtysiankę, pytał daléj:

— Halu, a czy pójdziesz ty za mnie?..

Halka jeszcze się bardziéj zawstydziła, wyrwała się z rąk Grzesiowi i rzekła:

— Jak rodzice pozwolą to pójdę...— i pobiegła naprzód do domu, a Grześ patrzał długo za nią, i tak mu miło było na sercu, jakby mu Pan Bóg nieba przychylił.

Zaraz téj saméj niedzieli po południu, wysłał Grześ swaty do sołtysa Sołody, a Sołoda mile ich przyjął i odpowiedział:

— Wiedział ja ci oddawna, że się Grześ z moją Halką kochają, i wcale mi to nie markotno. Bo choć Halka moja jedynaczka, i wszystko co mam do niéj należy, to Grześ także nie ubogi, bo ma więcéj niż największe majątki, dobre serce, zdrowe ręce i chęć do pracy. Niech się więc pobiorą i niech żyją w łasce Bożéj!..

Nie potrzebuję wam opowiadać, jak się Grześ ucieszył na tę odpowiedź; prawie nic mówić nie mógł od wielkiéj radości. Halka była także mocno uradowana, bo kochała Grzesia bardzo, i tak oboje oczekiwali z upragnieniem wesela, które się miało odbyć jesienią.

Ale napisano jest w księgach świętych: „Szatan nie śpi, ale czyha, jak lew kogoby pożarł!..” Tak i w tym wypadku nie długo było tego szczęścia dla Grzesia i Halki; bo na kilka tygodni przed samem weselem zaszedł taki wypadek:

W téj saméj wsi, gdzie mieszkał sołtys Sołoda, był stary kowal, który przed kilkunastu laty zawędrował był do wsi. Kowal był majstrem dobrym, nie ma co mówić, ale jakim on tam był człowiekiem, tego już nie wiem, choć tam strasznie coś źle mówili o nim ludzie.

Otóż do tego kowala przyjechał naraz jakiś daleki jego krewniak, co służył dawniéj wojskowo. Był to młody, gładki chłopak, ale nieroba i hultaj. Zwali go z niemiecka Franc, a on sam nie był ni Niemiec, ni Czech, ni Polak, jeno jakiś dziwoląg cudacki. Mówił trochę po czesku, mieszał italjańskie wyrazy, i bardzo był z tego dumnym, że się na niego głupi parobcy patrzali jak na jakiego mędrca; gdy on tymczasem głupi był, nie przymierzając, jak sprycha.

Boć tak to na nieszczęście bywa między naszym poczciwym ludkiem galicyjskim, że jak się nawinie jaki urwis, co się w cudacki strój ubierze i jakimś brzydkim językiem szwargocze, to ludzie myślą, że to Bóg wié co za rozumny i uczony człowiek.

Otóż tak i z tym Francem było. Wszyscy chłopcy mieli to sobie za honor, jeżeli Franc z nimi poszedł na kieliszek wódki, choć sam nigdy nie płacił, a pił jak gąbka—a dziewuchy wiejskie to się i napatrzyć na Franca nie mogły. Franc ubierał się w niedzielę i święta w jakiś krótki kabacik i kraciastą kamizelczynę; na głowę wdziewał czapeczkę z żółtym sznurkiem, a na kamizelce przewieszał stalowy, błyszczący łańcuch od zegarka, i chodził z wielką pychą po wsi jak bocian, myśląc, że Bóg wié, co on za pan wielki.

Tak wałęsał się ten Franc przez kilka dni po wsi, aż zobaczył piękną sołtysiankę, Halkę. Podobała mu się bardzo ta dziewucha; a że się dowiedział, że stary Sołoda ma wielki dobytek, począł zaraz mizdrzyć się i palić cholewki do Halki. A Halka niewierna, choć ślubowała Grzesiowi, że pójdzie za niego, dała się obałamucić przez tego przybłędę, że już o Grzesiu i zapominać poczęła. Podobało się jéj to bardzo, że Franc wygląda z pańska, że umie szwargotać cudzemi mowami, i powoli tak sobie dziewczę zawróciło głowę, że dla Franca przestało kochać poczciwego Grzesia.

Nie wiedział o tém stary Sołoda, bo się Franc i Halka kryli przed nim z bojaźni; biedny Grześ także o tém nie wiedział, bo Halka udawała przed nim także że go kocha. Ale raz wrócił Grześ z miasta i przyniósł Halce prześliczną wstążkę barwistą. Zobaczył ją właśnie na podwórzu przed chatą i przybiegł do niéj, a ściskając z serca jéj rękę prosił, aby wstążkę od niego przyjęła.

Ale Halka jakoś krzywo popatrzyła na Grzesia i wstążkę odsunęła od siebie. Grześ spojrzał na nią z zdziwieniem, a tu patrzy, na palcu Halki świeci jakiś przecudny złoty pierścień z drogiemi kamieniami!

— Halku! — zawołał Grześ — Halku! co to za pierścień!?..

Halka zaczerwieniła się po uszy i schowała rękę.

— Kto ci go dał? powiedz! wołał Grześ, i serce go okrutnie zabolało; bo mu przyszło nagle na myśl, że Halka mu jest niewierną.

Ale Halka zamiast odpowiedzieć łagodnie Grzesiowi, rozgniewała się nagle i zawołała:

— Franc mi dał pierścień, bo mnie Franc kocha i ja go kocham: rzekłszy to uciekła od Grzesia.

Grześ stał przez chwilkę, jak skamieniały. Oddech mu się zaparł w piersiach, i zdawało mu się, że mu serce pęknie z bólu, że rozum w głowie mu się zamiesza!... A potem łzy potoczyły mu się z oczu, i blady jak trup poszedł powoli do swéj chaty...

II.

Gdy przyszedł Grześ do domu, począł gorzko płakać... On kochał Halkę nad swe życie, kochał ją pierwszą po swéj matce staréj! Dla Halki byłby poświęcił wszystko co miał, byłby życie wydał za nią, a ona mu odpłaciła taką szkaradną zdradą!.... Zamiast pracowitego, poczciwego parobczaka wolała jakiegoś nierobę i niecnotę. A dlaczego? Oto że Franc nosił surdut z pańska po mieszczańsku, że umiał w tańcu wyłamywać nogi po cudacku, i dał jéj na podarunek złote pierścienie! Oj źle to, źle, jeśli dziewczęta patrzą na takie marności!!... Prędzéj

lub późniéj spotka je takie nieszczęście, jak Halkę Sołtysiankę.

Ale wróćmy do Grzesia. Kiedy stara matka zobaczyła syna w takim srogim smutku, poczęła go z płaczem wypytywać, co mu takiego. Grześ opowiedział wszystko matce, a ona mu na to:

— Przestań smucić się synu! Halka niewarta ciebie, niech sobie trzyma tego włóczęgę, kiedy go woli, niż ciebie swojaka. Jest we wsi więcéj dziewcząt hożych; każda pójdzie za ciebie, i każda będzie lepsza niż Halka niewierna!

Ale Grześ nie dał się uspokoić, bo mu serce pękało z boleści. Kilka dni przetęsknił i przemarudził w chacie, potem spakował swój przyodziewek, najął dla matki do pomocy poczciwego parobka, i rzekł do matki:

— Nie wytrzymam ja tu od wielkiéj boleści. Ile bym razy spojrzał na Halkę, serce by mi się skrwawiło. Pójdę w świat, może trochę zapomnę, a potem wrócę do was, droga matko!

I wziąwszy tłomoczek, pożegnał się z starą matką, i poszedł w świat.....

Tymczasem już we wsi o niczem nie mówią, jeno o Francu i o Halce, o złotych pierścieniach i drogich koralikach, co jéj Franc darował i o biednym Grzesiu, co w świat powędrował.

W końcu dowiedział się o tem i sołtys Sołoda, który przedtem ani się domyślał, że Halka ma konszachty z Francem. Okropnie się zgryzł stary, bo wiedział, że to zły człowiek ten Franc, a Grzesia żal mu było jak syna. Biedny Sołoda nie spodziewał się nigdy, aby jego jedynaczka Halka na taką złą drogę zeszła, a z rozżalenia i zgryzoty stary pożółkł i zgarbił się przez jedną noc, jakby mu 10 lat przybyło.

Było to właśnie rano w niedzielę; stary zwlókł się z łóżka, ubrał się i przywołał Halkę. Gdy Halka przyszła, popatrzył jéj Sołoda w oczy surowo, aż pobladła dziewczyna, widząc gniew i zgryzotę w oczach swego ojca.

— Halko—rzekł do niéj stary—Halko! takiéj się po tobie pociechy doczekałem!.....

Halkę jakby krew oblała, tak się zarumieniła, a potem znowu blada stanęła jak chusta.

Stary uchwycił ją za rękę, popatrzył jéj znów w oczy i zawołał:

— Halko! niedobra dziewczyno! powiedz mi zaraz, czy prawda to, co ludzie o tobie mówią? Ty się wdajesz z Francem, tyś porzuciła Grzesia! Gdzie masz te kolczyki, te korale drogie, co ci dał Franc! Powiedz, powiedz mi zaraz! i trząsł ręką Halki stary Sołoda, a z oczu łzy mu się puściły po pomarszczonéj twarzy.

Halka zachwiała się na nogach, twarz jéj blada była jak u trupa. Nie mogła się wypierać, milczała tylko. Sołoda poszedł do alkierza i pociągnął za sobą Halkę. Tu roztworzył kuferek, gdzie Halka trzymała swoją odzież, a tam leżały złote pierścionki, łańcuszki i korale!

Wtem dał się słyszeć jakiś hałas na podwórzu, a za chwilę wpadli jacyś ludzie do izby Sołody. Byli to żandarmi. Między nimi był Franc, skuty kajdanami. Halka, gdy go ujrzała, krzyknęła strasznie i padła na ziemię, jak nieżywa.

Sołoda chciał ratować córkę, gdy w tem przystąpił żandarm i mówił:

— We dworze ukradł ktoś złote obrączki i łańcuszki, i wykazało się, że zbrodni téj dopuścił się oto ten człowiek, zwany we wsi Franc. Mówi on, że wy sołtysie i wasza córka pomagaliście mu w kradzieży! Chodźcie z nami. Mam rozkaz was i waszą córkę dostawić do sądu!

Gdyby był piorun uderzył z jasnego nieba w siwą głowę starego sołtysa Sołody—byłby go może nie zabił tak nagle, jak te słowa. Stary Sołoda był kmieciem szanowanym, zamożnym; nigdy jeszcze ręka jego nie skalała się krzywdą cudzą, a na starość miał iść do sądu, jak złodziéj prosty. Zatrząsł się cały, posiniał i upadł na ziemię bez duszy. Gdy go chciano ratować, już było za późno. Stary Sołoda skonał!

Żandarmi zobaczyli skradzione złoto, i wziąwszy je z sobą, poprowadzili Halkę, która tymczasem przyszła do siebie, razem z okutym Francem do miasta.

III.

Halka przez całą drogę do miasta ani ust nie otworzyła; niema i blada siedziała na wozie koło okutego Franca. Snać nieszczęśliwa dziewczyna nie mogła pojąć co się stało, i nieprzytomnie spoglądała to na żandarmów, to na Franca. Zaś Franc siedział także w milczeniu, jeno chmurnie przed siebie spoglądał, i od czasu do czasu kajdanami dzwonił.

Tak przyjechali do miasta, gdzie ich zaraz oddano do sądu. W sądzie rozpoczęto sprawę, i oto wykazało się, że Franc sam skradł ze dworu złote pierścienie, a ani stary Sołoda, ani Halka nie byli winni. Franc rozpatrzył się dobrze we dworze, gdzie znał jednego lokaja, i w nocy, zakradłszy się do pokoju, porabował te drogie pierścienie i łańcuszki. Trochę z tego dał Halce, a nieroztropna dziewczyna przyjęła je, bo nie wiedziała zkąd pochodzą.

Franc zwalił połowę winy na starego Sołodę i jego córkę—bo myślał ten zbrodzień, że przez to sobie pomoże... Ale wykręt jego nie udał się—Franc poszedł do kryminału.

Gdy się niewinność Halki pokazała wyraźnie, puszczono ją do domu.

Halka powróciła do wsi zbiedzona—ale już nie miała do kogo powrócić.... Ojca jéj tymczasem pochowano... Z boleści i wstydu Halka od rozumu odchodziła... Siadła sobie na progu chaty, i tam jak martwa całą noc przesiedziała... Nad ranem wzięły ją do siebie sąsiadki.

Oj srogo była pokaraną Halka za swoją swawolę! Nie tylko, że ojca o śmierć przyprawiła, że ją jak złodziejkę do sądu włóczono, ale do tego jeszcze widziała własną swą hańbę i sromotę, bo za marny pierścień złoty i za słówka gładkie, oddała Francowi swój wstyd i wieniec dziewiczy!

Jak cień błąkała się Halka, to po pustéj chacie, to po sąsiadkach, ale coraz bardziéj schła i marniała. Aż serce bolało, na tę biedną dziewczynę patrzeć... Tak minął miesiąc cały, a Halka przez cały ten czas prawie nie spała, ani jadła, ani też słowa do kogo przemówiła. Chyba gdy była sama, to plątały się jéj po języku rozmaite dziwaczne słowa, a często wymawiała imię Franca i Grzesia...

Aż nareszcie zginęła naraz bez śladu... Szukano jéj wszędzie, ale daremnie; za tydzień dopiero znalazł jeden rybak ciało jéj w wodzie. Snać się utopiła z wstydu i żałości.

IV.

Właśnie, kiedy chowano Halkę, wrócił nagle Grześ do wsi. Nie mógł długo wytrzymać między obcemi ludźmi, serce go zabolało za matkę i mówił sobie:

— Cóż ci winna twoja matka, żeś ją opuścił w starości?.. Czyż za Halkę ma cierpieć biedna staruszka? Ciężkom przewinił, że z żalu po niewiernéj dziewczynie porzuciłem matkę, która mnie tak kocha, i pewnie gorzko za mną płacze.

I wrócił do wsi. Był w samym środku wsi, gdy ujrzał pogrzeb Halki. Nie wiedział, kogo to niosą na wieczne odpoczywanie; bo mu nikt nie opowiedział o tem, co zaszło od tego czasu w chacie Sołody. Zdjął kapelusz i czekał aż pogrzeb go minie, mówiąc nabożnie: „Wieczne odpoczywanie...”

Gdy go zobaczyli ludzie, co szli za pogrzebem, poczęli szeptać:

— Grześ! Grześ wrócił!!...

Grześ zbliżył się do jednéj z kobiet, co szły za trumną i zapytał:

— Powiedzcież mi proszę, kogo Pan Bóg powołał z téj ziemi?



I chodził z wielką pychą po wsi jak bocian.—(str. 10, szp. 2).
(Rysował Jastrzębowski.—Wyciął na drzewie Walter).

— A to wy o niczem nie wiecie, Grzesiu — odpowiedziała kobieta, toć to Halka się utopiła!

— Halka!... zawołał Grześ i rzucił się na trumnę, i począł ją całować i płakać z całego serca.

Ludzie się rozstąpili i patrzyli jak na dziwowisko. Naraz ktoś chwycił Grzesia za rękę i zawołał go po imieniu... Grześ się obrócił — była to stara matka jego... Powitała go z radością i płaczem, i zaprowadziła jak dziecko do chaty. Tu mu opowiedziała wszystko... Grześ nic nie mówił, jeno drżał jakby go febra trzęsła. Na drugi dzień rozchorował się śmiertelnie... Odleżał miesiąc cały....



Zatrząsł się cały, posiniał i upadł na ziemię bez duszy.—(str. 11, szp. 2).
(Rysował Jastrzębowski.—Wyciął na drzewie Walter).

V.

Kilka lat minęło... Kilka lat to nie dni kilka. Przez ten czas nie jedna łza wyschnie, nie jedna żałość człeka opuści, o nie jednem nieszczęściu ludzie zapomną... Grześ wprawdzie nie zapomniał o Halce, ale przestał już płakać za niewierną dziewczyną. Na prośbę staréj matki postanowił się ożenić.

Wybrał sobie Anusię, córkę zagrodnika Macieja, dobrą i pracowitą dziewczynę, która go całą duszą pokochała.

Grób nieszczęśliwéj Halki już po raz piąty okrył się zieloną murawą, kiedy Grześ obchodził swe wesele. Dziewczęta zaśpiewały na godach krakowiaka o Wandzie.

Grześ przypomniał sobie Franca i Halkę i łza mu się zakręciła w oku. Ale przy dobréj żonie i staréj matuli zapomniał Grześ do reszty o swojem dawnem kochaniu i o Halce, co mu wiarę złamała, i za marności, swego wianka się wyrzekła.

Został najporządniejszym gospodarzem we wsi; w pracy i zacności pędził życie. Kiedy dwa lata temu jechałem w niedzielę przez Wrotnowice, wypadła mi droga pod cmentarz, i zobaczyłem jakiegoś gospodarza z żoną i dziećmi... Był to Grześ ze swoimi. Modlił się on na grobie swéj matki, która już także umarła, a potem poszedł z swoją rodziną na grób starego Sołody i Halki, i tam modlili się także za ich dusze.

Franc odsiedział długi czas w kryminale, a potem gdzieś znikł w szerokim świecie. Stary Jacenty, co zeszłego roku był na Zebrzydowskiéj Kalwaryi, opowiadał, że go widział między proszalnemi żebrakami. Tak to Bóg pokarał złego człowieka, co tyle nieszczęścia narobił i biedną Halkę zgubił.

Ja zaś spisałem tę całą smutną historję na naukę dla naszych dziewuch wiejskich, aby chowały cnotę w sercu, i strzegły się przed takimi hultajami jak Franc. Niech żyją we wstydzie dziewiczym i bogobojności, bo za nic uroda i majątek, gdzie nie ma cnoty. Macie tego przykład w historji sołtysianki Sołodówněj.

O ZIMNICY.

(Dokończenie).

Leczenie zimnicy. Dzięki Opatrzności a chwała rozumowi ludzkiemu, że przeciwko téj strasznéj chorobie, jest jakie tylko być może najdoskonalsze lekarstwo. Lekiem tym jest siarczan chininy. Nie ma takiéj zimnicy, któréjby ten lek w właściwym wzięty czasie i w dostatecznéj ilości, najdoskonaléj nie wyleczył.

Przedewszystkiem wytępiać należy mocno zakorzeniony przesąd, że kiedy się zjawi zimnica, to jéj zaraz nie trzeba wyleczać, ale dopiero po dniach kilku, np. siedmiu, bo zimnica nie długo trwała, bardzo zbawiennie działa na przyszłe zdrowie, bo jest wysileniem natury ludzkiéj, żeby zabezpieczyć się od

wielu różnych chorób. Niech nikt takiéj nie rozumnéj gadaninie nie wierzy, bo się grubo pomyli, a zamiast przyszłego zdrowia, prędzéj sprowadzi śmierć albo inne ciężkie choroby, bardzo trudne do wyleczenia i bardzo długo trwające.

Podczas paroksyzmu nie trzeba dawać żadnego leku, ale tylko prostemi sposobami pomagać, żeby w czasie przemiany zimna ogrzewać chorego, odziewając go lekkiemi a ciepłemi przykryciami, pojąc go dobrze ciepłemi ziółkami, np. z bzowego i lipowego kwiatu; tym sposobem przyspieszy się przemianę gorąca, któremu ulży się, pojąc chorego chłodną lemoniadą, lub zimną wodą dając ją w małéj na raz ilości. Chory powinien być lekko ale dobrze ciepło okryty, żeby się w téj przemianie z zimna na gorąco nie zaziębił. Jeżeli dokucza silny ból głowy, to bardzo pomagają zimne okładania z wody i octu; temi sposobami przyspieszy się trzecią i ostatnią przemianę potów. Jeżeli poty nie są obfite, można je zwiększyć ciepłemi napojami, jeżeli zaś są bardzo obfite, to trzeba zmieniać bieliznę, byleby tylko nie była zimną. Jeżeli po potach chory czuje się bardzo osłabiony, to można mu dać trochę dobrego wina.

Po paroksyzmie zwykle chory zasypia, a po przebudzeniu najczęściéj ma się jak najlepiéj. Po pierwszym paroksyzmie, poznawszy rodzaj zimnicy, trzeba się wziąść do jéj leczenia, ażeby przeszkodzić powrotowi następnego paroksyzmu; ale że się nie wie jeszcze, czy ona nastąpi drugiego, trzeciego lub czwartego dnia, wypadnie więc dać lekarstwo w kilka godzin po pierwszym paroksyzmie np. w godzin sześć. Ilość leku zastosować należy do wieku chorego; im jest młodszy tym dawka powinna być mniejszą. Sposób dawania jest jednorazowy albo w podziałkach, ludziom dorosłym, najwłaściwiéj jest dawać siarczan chininy w pigułkach, z tego powodu że lekarstwo to nadzwyczajnie jest gorzkie; a że dzieci nie przełkną pigułek to trzeba im dawać lekarstwo w konfiturach, w miodzie, w mlėku, w kawie lub w herbacie. Ludzie starsi mogą wziąść lekarstwo w podziałkach, ale dzieciom trzeba dawać na raz. Starszym daje się przez trzy godziny, co godzina po jednéj pigułce, zawierającéj w sobie od 3 do 6 *granów* siarczanu chininy, dzieciom zaś daje



. . . Siedziała ona na wozie koło okutego Franca.—(str. 11, szp. 2)
(Rysował Jastrzębowski.—Wyciął na drzewie Walter).



Kruk.—(strona 14, szpalta 2).
(Rysował Jastrzębowski.—Wyciął na drzewie Szymborski).

się od 1 grana do 3 na raz, jeżeli się daje w kawie lub herbacie to trzeba większą dać dawkę, bo lekarstwo to dane w tych płynach traci na swojéj skuteczności. Jeżeli dzieci w żaden sposób nie mogą lekarstwa przełknąć, to daje się je w lewatywie, zrobionéj z lnianego siemienia, ale dawka musi być w tym razie 4 razy większa.

Po daniu lekarstwa oczekuje się paroksyzmu; ten skoro się zjawi, uważać trzeba o któréj przypadł godzinie, bo wiadomość ta posłuży do następnego dawania lekarstwa. Wiedząc dokładnie, jakiego jest rodzaju zimnica i o któréj przypada godzinie, daje się lekarstwo podzielone na 3 części na 6 godzin przed paroksyzmem, co godzina każdą część, dzieciom zaś dać trzeba na raz całą dawkę. Tak powtarza się przez następne dni w ten sam sposób aż do dnia kiedy przypaść ma zimnica, która jeżeli nie zjawi się, to przez 4 dni następne, daje się jeszcze w ten sam sposób połowę zwyczajnéj dawki.

Działalność siarczanu chininy powiększa się, wpuszczając doń kilka kropli jakiego kwasu, np. siarkowego, fosforowego i t. d.

W zimnicy zgubnéj trzeba spieszyć z pomocą jak najprędzéj bo nie ma chwili do stracenia; zatem przy końcu pierwszego paroksyzmu dawać trzeba siarczan chininy, ale w większéj dawce, od 20 do 40 granów na raz. Dla większéj pewności, robi się z takiéj saméj ilości tego leku lewatywa. Stosownie do objawiających się symptomatów, łączą się z siarczanem chininy różne inne leki. Jeżeli towarzyszą wielkie bóle i biegunka, dodaje się opium od 5 do 10 kropli na raz *Laudanum Sydenahama*, lub inne jakie tego rodzaju lekarstwo, z przepisu lekarza; jeżeli towarzyszy wielka niemoc, to daje się od 10 do 20 kropli na raz eteru siarkowego, rozpuszczonego w małéj łyżce wody. Oba te leki powtórzyć można trzy i cztery razy w ciągu dnia. Jeżeli towarzyszy wielkie rozstrojenie nerwowe, to stawiają się wizykatorje za uszami na karku, albo synapizma z mączki gorczycy, na udach lub łydkach. Wrazie wielkiego bólu głowy, niektórzy lekarze radzą upuszczać krew; w tym względzie trzeba być bardzo ostróżnym. Głównym jednak lekiem, w téj strasznéj bo bardzo prędko śmiertelnéj chorobie, jest siarczan chininy,

do niego więc wyłącznie należy się uciekać w najniebezpieczniejszych razach nawet pozornéj śmierci; bo doświadczenia najznakomitszych lekarzy przekonały, że w zimnicy letargowéj, mimo że chory przez dwa dni nie dawał żadnych znaków życia, to siarczan chininy w wielkiéj dawany dawce przywracał życie i zdrowie.

Ale siarczan chininy jest lekarstwem bardzo drogiem; dlatego nie jest ono przystępnem dla ludzi biednych, a nadto zauważano tę ważną okoliczność, że siarczan chininy, mimo że najdoskonaléj wylecza z zimnicy, jednak nie zabezpiecza od jéj powrotu w późniejszym czasie. Otóż lekarstwem odpowiadającem wszystkim wymaganiom, a nadzwyczajnie taniem, jest *arszenikowy kwas*. Daje się go w nadzwyczaj małéj ilości, w dawkach cząstkowych, w ten sposób, żeby ostatnia dawka przypadła na dwie godziny przed spodziewanym paroksyzmem zimnicy. Ilość tego kwasu zastosować należy do rodzaju zimnicy i do wieku chorego. Mimo, że arszenik jest silną trucizną, natura ludzka bardzo się do niéj przyzwyczaja; doświadczono, że można dawać kwasu arszenikowego wciągu dnia jeden gran, dając na raz bardzo małą ilość, bez żadnéj dla zdrowia szkody. Bierze się więc 1 *gran* kwasu arszenikowego i łączy się go z 96 *małemi łyżeczkami czystéj wody*; tę mięszaninę gotuje się przez pół godziny, i daje się z niéj co kwadrans po łyżeczce; tak wypadnie na raz $^1/_{50}$ część grana tego lekarstwa. Jeżeli żołądek nie może znieść arszeniku, to trzeba go dawać w lewatywie; wtedy ilość będzie podwojoną. Rozpocznie się dawanie tego lekarstwa w trzy do sześciu godzin po pierwszym paroksyzmie, i powtarza się w sam dzień przypadającéj zimnicy, żeby ostatnia dawka przypadła na 2 godziny przed paroksyzmem.

Jeżeli zimnicy towarzyszą wymioty i brak zupełny apetytu, to przed daniem lekarstwa wyłącznego przeciw zimnicy, bądź chininy bądź kwasu arszenikowego, trzeba pierwéj dać na wymioty. Skoro zimnica już oczekiwanego dnia nie powróciła, to tak samo jak dając chininę trzeba powtarzać i dawki arszeniku przez kilka dni, jak to powiedziane było wyżéj.

W wolnym czasie od zimnicy, trzeba chorego dobrze żywić nadewszystko mięsem.

Tym sposobem leczone zimnice nie wrócą się. Jeżeli po wyleczeniu z zimnicy, chory powoli przychodzi do sił, jest wątły, mały ma apetyt i długo nieprzedstawia znaków zdrowia, to trzeba żeby zmienił miejsce pobytu, udając się w okolice górzyste, lub w takie strony, gdzie nie ma wcale zimnicy, i tam pozostał do zupełnego wyzdrowienia.

Jakie są skutki ze źle i zapóźno leczonéj zimnicy? Najczęściéj śledziona nadzwyczajnie nabrzmiewa i następuje napuchnięcie całego brzucha i nóg, a skóra nabiera zupełnie oddzielnego koloru żółtego; w tych razach trzeba dawać choremu lekarstwa wzmacniające, jak odwar chiny lub podwęglan żelaza, łącząc do nich w małéj ilości siarczan chininy lub arszenik, tak długo aż stan zdrowia zupełnie poprawi się. Nietrzeba zapominać o przepisach hygienicznych, żeby było czyste zdrowe powietrze, dobra woda, żywność i regularny sposób życia. Jeżeli po wyleczeniu zimnicy zostaje ból głowy, a chory jest temperamentu krwistego a do tego silnéj konstytucyi, to bardzo dobrze pomaga małe upuszczenie krwi z ręki.

Zakończenie. Ponieważ wiemy już, jakie są przyczyny téj powszechnéj a bardzo niebezpiecznéj choroby, należy do wszystkich władz miejscowych usuwać je w sposób stanowczy, a tym tylko sposobem zniszczy się ją na zawsze. Wszędzie więc, gdzie są wody stojące lub zanieczyszczone i zarosłe stawy, trzeba te miejsce osuszać i oczyszczać w właściwéj porze, t. j. zaraz z wiosny i na końcu lata, kiedy stan wody jest najmniejszy. Po miastach zaś dbać należy żeby nie było ulic niebrukowanych i żeby błoto, śmietniki i różne nieczystości nieustannie uprzątano w właściwéj porze. Mocno wypada przestrzegać żeby ludzie zdrowi, zwłaszcza po wsiach mieszkający, niepijali wody ze stawów, z kałuż i z miejsc stojącéj wody, ale czystą kryniczną lub deszczową.

W zakończeniu zwracamy uwagę czytelników, że kiedy tylko objawi się choroba przedstawiająca swój powrót perjodycznie, to trzeba ją uważać za zimnicę, mimo że symptomaty różnić się będą od opisanych wyżéj, i trzeba ją zaraz leczyć w sposób wskazany. Gorączki kaukazkie i mołdawskie nie są innemi, ale zwyczajnemi lub zgubnemi zimnicami.

O Wronach i Gawronach krajowych.

Ptaki téj rodziny, mają węch bardzo delikatny, są ostróżne, niedowierzające, zręcznie unikają wszelkich zasadzek; przebiegłe, ciekawe i chytre, lubią zbierać i chować przedmioty, nierobiące im żadnego pożytku, byle tylko błyszczały. Łatwo się dają oswajać i mają zdolność naśladowania wyrazów mowy ludzkiéj, lub głosu niektórych zwierząt; poznają pana swego i przywykają do niego. Karmią się wszystkiem co znaleźć mogą, a chociaż niekiedy robią szkody, niemniéj jednak przynoszą pożytku rolnikom, wyniszczaniem owadów, ich liszek i gąsiennic; porywają niekiedy drobne ptastwo, i chciwe są na jaja, których wiele psują. Zmieniają upierzenie raz na rok tylko; płcie nie różnią się powierzchownie, a młode po pierwszem wypierzeniu się jesiennem, przybierają barwę dorosłych. Wędrują i latają gromadnie, a są mieszkańcami całéj prawie kuli ziemskiéj. W kraju naszym mamy następujące ich gatunki:

1. Głowa wroniego rodu—*Kruk* (Corvus Corax L.); jest ptak duży, czarny, z pięknym błękitno-zielonawym połyskiem; posiada zdolność naśladowania mowy ludzkiéj; błyszczące przedmioty kradnie i chowa, a wielką zmyślnością jest obdarzony. Przyzwyczaja się łatwo do ludzi; często też w domach oswojonego widzieć można, a wtenczas tak prawie jak pies do pana swego przywyka; na wszystko co się w domu dzieje, pilną zwraca uwagę; przyjaciół od nieprzyjaciół odróżnia i tysiącznemi zabawnemi figlami umie się przypodobać. Lot ma silny i równy; przy wypogodzonem niebie wznosi się do ogromnéj wysokości, po kilka godzin buja w powietrzu i może bez odpoczynku przelatywać wielkie przestrzenie. Ostróżny i baczny, rzadko podejść się daje, i umie zręcznie unikać zasadzek myśliwego, a tak jest śmiały i odważny, że się niewaha stoczać walki z orłem, i często zmusza do ucieczki najsilniejszego sokoła. Wzrok ma bardzo wytrwały i bystry, a węch delikatny [1]). O szkodach jakie wyrządza w lesie i w polu, dobijając słabe jagniątka, unosząc młody drób'

---

[1]) Takie jest zdanie powszechne. Rzecz dziwna, że znakomity badacz obyczajów ptastwa Odiubon (Audubon) twierdzi, że kruki mają węch bardzo słaby.

i t. p., zbyt wiele wieści przesadzonych opowiadają myśliwi. Większy jednak nierównie przynosi pożytek, wyniszczając myszy, chrząszcze, gąsienice, robactwo, tudzież oczyszczając ziemię z padliny, którą się karmi.

Żadne zwierzę nie zostało tak spotwarzone i nie było przedmiotem tylu przesądów, co kruk. Pociąg do padliny, poszukiwanéj w miejscach ustronnych, niemiłe krakanie, zdolność naśladowania mowy ludzkiéj i głosu zwierząt domowych, czarne ubarwienie, wszystko to dało powód do niedorzecznych baśni gminnych. Uważano kruka za powiernika piekieł, zostającego w związku z szatanem. W starych ludowych księgach Fausta i w nauce tak zwanych tajemnych umiejętności, kruk występuje wszędzie na scenę. Już u ludów starożytnych był on uważany za ptaka złéj wróżby; choroba lub śmierć miały być udziałem tego, kto go ujrzał w pewnych okolicznościach. Dawni jednak Rzymianie mieli dla niego religijne poszanowanie, a z głosu i lotu jego przyszłość odgadywać mniemali. Wszystkie te podania, będące płodem zabobonu i niewiadomości, nie zasługują na uwagę; z tem wszystkiem winniśmy takim baśniom, a poczęści i rzeczywistym obyczajom kruka, niektóre przysłowia, jako to: „Kruk krukowi oka niewykole.” — „Żaba na deszcz rzekce, kruk na krew kracze”— „gdzie jest ścierwo, tam zbierają się kruki” — „kradnie jak kruk” i t. p.

Kruk jest ptakiem stale w kraju naszym przebywającym i na zimę nieodlatuje. Gnieździ się bardzo wcześnie na wysokich drzewach lub skałach niedostępnych; gniazda układa z chrustu, mchu, gliny; wyściela je wewnątrz pierzem, wełną, suchą trawą i innemi miękkiemi przedmiotami. Samica znosi jaj 5—6, zielonych, drobnemi brunatnemi kreskami i cętkami upstrzonych. Jaja te na jednym końcu więcéj niż na drugim są zaostrzone, a tak wielkie, jak jaja młodéj kury. Samica i samiec we dnie na przemian przez 3 tygodnie na jajach siedzą, w nocy zaś tylko samica, samiec zaś w bliskości przebywa. Kruczęta już w marcu się wylęgają i z początku mają białawe upierzenie. Rzadko wydarzają się odmiany kruków w stanie dorosłym z pierzem białem, z tego powodu weszło w zwyczaj, przedmiotom bardzo szczególnym i rzadko widzieć się dającym, nadawać nazwę *kruków białych*. Ptak to jest długowieczny i do stu lat żyć może. Czuły na wpływ powietrza, zmianę stanu jego przewiduje; gdy lata gromadnie ku wieczorowi krakając, ma to być znakiem pogody.

2. *Wrona czarna* czyli *Wroniec* (Corvus Corone). Mniejszy jest od właściwego kruka, mniejszy nawet od wrony, ale większy od kawki. Od obu ostatnich różni się też ubarwieniem. Jest prawie zupełnie czarny jak gawron, ale nie tyle ma połysku i dziób jego przy nasadzie nie jest obnażony i biały, jak u gawrona, a ma kształt więcéj nożykowaty; ogon równie jak wroni krótszy ma od gawroniego. Gawron głos ma zupełnie odmienny, ścierwem się nie karmi, jak to czyni wroniec; nakoniec wroniec buduje gniazdo nie w tak licznem towarzystwie jak gawron, a raczéj pod tym względem do wrony jest podobny. Mieszka w krajach bardziej ku południowi położonych; w naszych prowincjach należy do liczby ptaków rzadszych. Zdarza się niekiedy widzieć te ptaki w jesieni, między stadami wron i kawek, ale nie ma pewności, aby się u nas gnieździły. Gatunek ten w pospolitéj mowie nie ma osobnego nazwiska i niekiedy brany bywa za młodego kruka, do którego i głos ma podobny. Gnieździ się w lasach, na wysokich drzewach, jaj znosi od 4—6 błękitnawo-zielonych, szaro plamistych, które przez dni 18-cie wysiaduje; karmi się robactwem, owadami, jajami rozmaitych leśnych i polnych ptaków; niemniéj samem ptastwem mniejszem, tudzież padliną. Chociaż ptak ten do szkodliwych liczyć się nie może, jednak w Anglii za Henryka VIII, a w Szląsku na początku XVII wieku, postanowieniem Rządu niszczyć go kazano, zapewne przez podejrzenie, że na rolach świeżo zasianych przebywać lubi, gdzie jednak nietyle ziarna, jak raczéj robactwa poszukuje. Na ten cel odbywały się polowania w porze wysiadywania jaj, truto je też ziarnem namoczonem w roztworze wroniego oka (strychnos nux vomica).

3. *Gawron* (Corvus frugilegus.) Powszechnem prawie, ale mylnem jest mniemanie, że gawron niszczy zasiewy zbóż, zkąd i nazwisko łacińskie *frugilegus* (ziarna zbierający) pochodzi; ma on też ziarna wyjadać, zarodki niszczyć i młode roślinki z ziemi wyciągać.

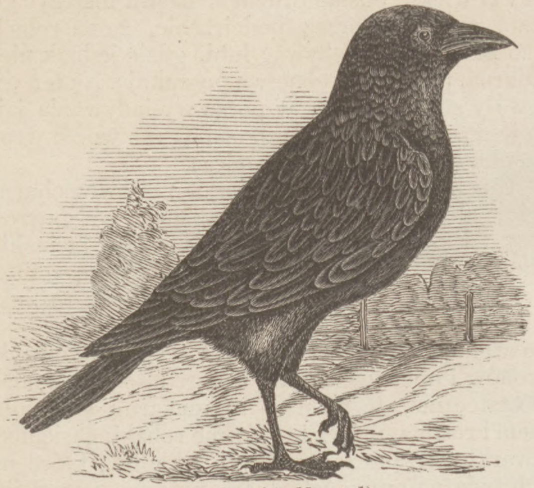
Doświadczenie jednak, nawet rozczłonkowanie gawronów i opatrywanie ich wnętrzności, przekonało dostatecznie, że ptastwo to niekarmi się zgoła ziarnem i roślinami, lecz je głównie robaki, gąsienice, poczwarki, chrząszczów i innych owadów, które na polach świeżo uprawnych zbiera, przez co na wdzięczność raczéj i względ ze strony rolników, niż na prześladowanie zasługuje. Pomimo to w niektórych krajach upowszechniony jest zwyczaj wyniszczania gawronów w porze zasiewów. Przeciwnie w Anglii, gdzie rolnictwo stoi na wysokim stopniu doskonałości, inaczéj się dzieje. Tam każdy właściciel lub dzierżawca ziemi, stara się zaprowadzić mnóstwo gawronów, na wysokich drzewach umyślnie na ten cel pielęgnowanych, gdzie ptaki te gniazda swe zakładają. Miejscowości takowe, zwane po angielsku *Rookery* (gawroniarnie), zarośnięte są wspaniałemi dębami i rozkosznemi wiązami, na których wielka ilość gniazd gawronich się mieści, a wrzask tego ptastwa, nieprzywykłemu uchu nieznośny, dla rolnika angielskiego przyjemnym się wydaje, bo w nim rękojmią obfitego plonu znajduje. Uderzające jest zaiste zamiłowanie wieśniaków angielskich w gawronach, które też wzajemnie do ich mieszkań się przywiązując, bez wszelkiéj obawy, gromadnie przy nich się gnieżdżą. Gdy rolnik angielski chce mówić o człowieku złym i nieużytym, używa przysłowia: „gawrony domu jego unikają.”

Gawron różni się od wrońca, pomimo jednakiéj z nim czarnéj budowy, mocniejszym połyskiem upierzenia, tudzież nagą, białą skórką otaczającą nasadę jego dzioba. Ogon ma też w stosunku do skrzydeł dłuższy; głos nieco słabszy niż u wrony. W południowych prowincjach zimuje i z północnych odlatuje na zimę, i dopiero z wiosną powraca. Latem przebywa nad brzegami lasów i gajów, niekiedy w sadach, lecz zawsze w blizkości pól. Lubi żyć gromadami i zbiera się w stada niekiedy do 2000 indywiduów wynoszące. Gniazda robi z suchych pręcików siana, mchu, ziemi, wyściełając je wewnątrz włosienią. W każdem gnieździe składa 3 do 4 jaj, bladozielonych z czarnemi i brunatnemi plamkami, które samiec i samica kolejno wysiadują. Pisklęta po 3 tygodniach wykluwają się, a wychodzą z jaj ślepe i gołe, lecz wkrótce nabywają wzroku, i porastają ciemno-szarym puszkiem; wtenczas nasady ich dziob-

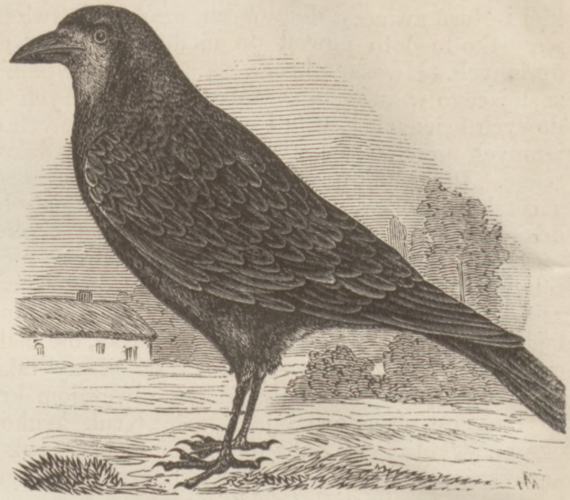
ków są porosłe pierzem, które dopiero z wiekiem ściera się, i nagą skórkę po sobie zostawia, a to jest skutkiem nieustannego pogrążania dzioba w ziemi, w któréj gawron szuka żywności. *(Dokończenie nastąpi).*

Piła krzywiznowa dla stolarzy.

Rzemieślnikom naszym znaną jest dobrze piłka krzywiznowa, czyli krzywica (schweifsaege); na na-



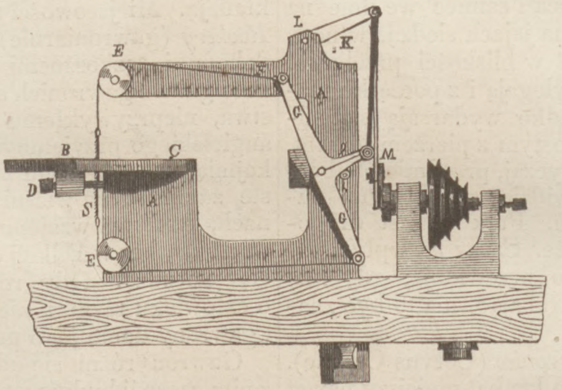
Wroniec.—(str. 15, szp. 1).



Gawron.—(str. 15, szp. 2).

(Rysował Jastrzębowski.—Wyciął na drzewie Szymborski).

szem zaś rysunku mają przedstawioną mechaniczną krzywicę, do wycinania ozdób na drzewie lub słoniowéj kości. Przyrząd ten jest bardzo prosty i powszechnie za granicą używany; przymocowywa się on zwykle do przodu tokarni, któréj siłą może być obracany. Składa on się z podstawy A, do któréj przytwierdzony jest blat B, w ten sposób, że na czopie C, obracać się może dowolnie, śruba D, służy do przytwierdzenia blatu, gdy go potrzeba mieć nieruchomym. Przez dwa bloczki E, przechodzą wiązadła utrzymujące delikatną piłkę S; wiązadła F, z drugiéj strony połączone są z trzechramiennym drągiem G. Od ramienia *G* idzie drugi drążek ruchomy, który się łączy przy L, z drążkiem K, a ten przez drążek M, komunikuje się z tokarnią. Pas od tokarni przyrządowi ruch nadaje w ten sposób, że drąg GG, zmienia swe położenie, a piłka S, żądane ruchy wykonywa.



Piła krzywiznowa dla stolarzy.
(Wycięto podług rysunku Kazimierza Kuczyńskiego).

ROZMAITOŚCI.

— Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, jest jak matka litościwa, która nie tylko myśli o losie swych dzieci, kiedy je nędza już trapi, ale także wszelkiemi siłami pragnie oddalić od nich ten kielich goryczy. Dla tego też działalność naszego Towarzystwa tak obszerna i rozmaita, a rok rocznie się rozszerza, mnożąc środki przychodzące w pomoc ubóstwu, lub chroniące ludność niezamożną wyrobniczą i rzemieślniczą, od wpadnięcia w ostateczną niedolę. I na obecnem posiedzeniu ogólnem, które w dniu 27 grudnia r. z. miało miejsce, uradzono jednomyślnie, oprócz utrzymywania wszystkich zakładów dobroczynnych, jak: żłobki, ochronki, czytelnie i t. d., założenie w parafji św. Andrzeja nowéj kassy pożyczkowéj, pod wezwaniem św. Marcina, a to z funduszu legowanego przez ks. Marcina Zarzeckiego, w kwocie złp. 2,000. Jakkolwiek początek niewielki, to przecież i z tego maleńkiego ziarnka pożyteczny zakład urość może, jeżeli tylko korzystający z pożyczek przez sumienne uiszczanie się, pokażą, iż godni są takiego dobrodziejstwa.

— Za granicą wiele rzemiosł odbywa się już na sposób fabryczny, i warsztaty wzrosły też do rozmiarów wielkich fabryk. Jedną z takich najznakomitszych jest fabryka mebli braci Thonet w Berlinie. Obecnie zatrudnia ona 1,200 robotników i odpowiednią ilość machin parowych. Wyrabiają w niéj rozlicznego kształtu i wartości meble, z drzewa twardego i drogich materjałów. Machiny w tym olbrzymim warsztacie używane, niezmiernie upraszczają wszelkie prace stolarskie, i skracają czas potrzebny do wykonania. Bracia Thonet otrzymali za swe wyroby wielkie medale na wszystkich wystawach świata, a ostatnio w Londynie; posiadają zaś składy swych mebli prawie we wszystkich stolicach Europy, a nawet wiele ich wyrobów przychodzi i do Warszawy.

— Tajny radca konsystorski w Heidelbergu, (w Badeńskiem) Szwarc powiada o sobie: że słuchając w 18-ym roku matematyki u Böhma, we śnie rozwiązywał zagadnienia trudniejsze, nad któremi na jawie nadaremnie się biedził.

— Obrachowano, że rzeka Ganges (w Indjach—w Azji położonych), przynosi co dzień Oceanowi massę różnych materji, wyrównywającą co do objętości największéj piramidzie Egipskiéj.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Dnia 30 Grudnia (11 Stycznia) 1864/5 r.